NUMER 29. DNIA 17. LIPCA 1904 ROKU. ROK XII.

# TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

## SZKICOWANE DZIEJE.

*(Dr. Wacław Sobieski: Szkice historyczne, J. K. Kochanowski: Szkice i drobiazgi historyczne.)*

Równocześnie prawie wyszły dwa tomiki szkiców historycznych, które przynajmniej pod względem zewnętrznym i układu bardzo są do siebie zbliżone i dozwalają wobec tego na wspólne ich omówienie. W jednym bowiem i drugim zbiorku, znajdujemy wycieczkę w dziedzinę historjografji niemieckiej, przyczynki do historji rodów polskich i pewne, wynikające zresztą z pojęcia i istoty „szkicu historycznego“, pokrewieństwo w metodzie historycznej.

Tak „Szkice historyczne“ dr. Sobieskiego, jak „Szkice i drobiazgi historyczne“ p. Kochanowskiego, stanowią ostatnie i najmłodsze ogniwo w łańcuchu, którego w literaturze naszej historycznej początkiem Karol Szajnocha i Ludwik Kubala. Barwny, urywkowy sposób przedstawiania rzeczy, ugrupowanie wypadków raczej obliczone na poczytność, aniżeli na drobiazgowe docieranie do źródeł prawdy dziejowej, lekkie opowiadanie, to są ogólne cechy „szkiców historycznych“, które w całej pełni występują też i u obu naszych autorów, chociaż co prawda w niejednakowym stopniu. O ile bowiem fantazja i obrazowość unoszą dr. Sobieskiego niekiedy aż w dziedzinę lirycznych uniesień i dramatycznych nastrojów, o tyle p. Kochanowski obraca się w mniej wysokich regionach, a nawet tworząc nastrojowe obrazki z przeszłości wysnuwa je mozolnie z drobnych fakcików i zapisek, pomijając szerokie rzuty i subtelne cienie pierwszego.

Dr. Wacław Sobieski wydał w niniejszym zbiorku sześć krótkich rozprawek, z których cztery pierwsze stanowią niejako cykl, związany osobą Jana Zamoyskiego. Na podstawie nieznanych jeszcze powszechnie, bo zaledwie co z druku wyszłych materjałów, rzucił autor kilka niezmiernie ciekawych i charakterystycznych szczegółów, tyczących się osoby wielkiego hetmana i kanclerza, a to właśnie nadaje całemu zbiorkowi urok niepowszedniej nowości. Jest bowiem dr. Sobieski wydawcą olbrzymio zakrojonego dzieła „Archiwum Jana Zamoyskiego“, to jest całej rękopiśmiennej a nieznanej historykom spuścizny po hetmanie, znajdującej się w bibljotece Zamoyskich w Warszawie. Na podstawie więc tego, pierwszorzędnego materjału wysnuł autor tych kilka barwnych, a żywych obrazków, z których pierwszy (Żałobny hetman) opowiada czyny Jana Zamoyskiego w czasie bezkrólewia po Stefanie Batorym aż do bitwy pod Byczyną, drugi (Pierwszy protektor Samozwańca) roztacza dzieje pierwszych kroków moskiewskiego awanturnika w Polsce, prostując wiele mylnych szczegółów, podawanych dotychczas przez historyków rosyjskich. Według dr. Sobieskiego, znalazł Dymitr Samozwaniec pierwsze schronienie u ks. Adama Wiśniowieckiego, a właściwie u zaporozkich Kozaków, przyczem gdy sprawa stała się głośną, Jan Zamoyski był pierwszym, który odradzał tej awanturniczej imprezy, popieranej głównie przez Mniszchów, króla Zygmunta III. i Jezuitów. Jezuitom znowu wyłącznie poświęcony jest dalszy szkic (Rola Jezuitów w dziejach Rzeczypospolitej), w którym w formie recenzji książki ks. Załęskiego p. t. „Jezuici w Polsce“ wykazuje autor między innemi, że Jezuici wywierali za Zygmunta III. potężny wpływ na Rzeczpospolitą i to wpływ natury politycznej. Okoliczność wreszcie odebrania starostw samborskiego i drohobyckiego możnemu rodowi Starzechowskich, przy sposobności egzekucji dóbr królew-

skich, posłużyła autorowi do uwydatnienia taktu i zimnej krwi Jana Zamoyskiego, który jako młody sekretarz królewski, po powrocie z Padwy, egzekucję tę przeprowadził.

Osobne miejsce zajmują w zbiorku dr. Sobieskiego dwa ostatnie szkice. Pierwszy z nich (Zapomniany bohater śląski) przypomina postać Konrada, syna Henryka Brodatego i św. Jadwigi śląskiej, który rozpoczął z młodszym swoim bratem Henrykiem Pobożnym walkę pod hasłem wypędzenia Niemców ze Śląska i w walce tej uległ, drugi zaś (Z historjozofji niemieckiej) poświęcony jest najnowszej teorji historjozoficznej profesora lipskiego Lamprechta, skierowanej przeciwko indywidualistycznemu i ideowemu pojmowaniu historji.

O ile pierwsza przynajmniej część szkiców dr. Sobieskiego, tworzy niejako całość związaną z osobą Jana Zamoyskiego jednością czasu, o tyle „Szkice i drobiazgi historyczne“ J. K. Kochanowskiego są zbiorem luźnych prac i artykułów, powstałych w różnych czasach przygodnie, niekiedy na zamówienie. Wszystkie te szkice i drobiazgi, drukowane były już przedtem gdzieindziej, niektóre jako informacyjne artykuły w Wielkiej Encyklopedji (Firleje, Traktat kaliski, Kamienieccy), inne jako okolicznościowe artykuły (na jubileusz uniwersytetu jagiellońskiego) lub artykuły w warszawskich pismach ilustrowanych.

Gdyby ktoś chciał doszukać się wzorów, które kierowały piórem autora przy tworzeniu dwunastu owych szkiców, to znajdzie je łatwo w samymże zbiorku, względnie w trzech szkicowanych życiorysach najwybitniejszych naszych historyków. Polotu historycznego i rodzaju dostarczył autorowi Szajnocha, krytycyzmu Stosław Łaguna, rozległych zaś materjałów źródłowych Adolf Pawiński. Widać to dokładnie na dwu zwłaszcza szkicach, któreby można nazwać typowemi dla talentu i metody p. Kochanowskiego, a to w szkicach z czasów Władysława Jagiełły: „Imć Pan Szymon Szczecina“ i „Karmazyn jakich wielu“. Materjału do obydwu dostarczyły „Teki Pawińskiego“, pracowitości w kombinowaniu najdrobniejszych nawet wzmianek metoda Stosława Łaguny, barwy i żywości opowiadania wreszcie szkice Karola Szajnochy. W tym ostatnim względzie zarzucić by można autorowi tylko tyle, że dla uwydatnienia pewnych sensacji historycznych, używa zbyt prymitywnych środków jak np. humorystyki, polegającej na ironizowaniu dawnych aktów prawnych między bohaterami zawieranych.

*F. J.*

---

# Najzimniejszy klimat na świecie 5)

NAPISAŁ

**ADAM SZYMAŃSKI.**

(Dokończenie).

Z kilkunastoletnich obserwacji wypada, że najpóźniejszym był tu mróz 14. czerwca, najwcześniejszym 7-go września, czyli ilość dni, w ciągu których ziemia jakucka w okolicach miasta jest zupełnie zabezpieczoną od mrozów wynosi 85. Prawda, że w ciągu jednego i tegoż roku ten okres zawsze jest trochę dłuższym, wynosi najmniej 100, średnio nawet 110 dni, ale przytoczone cyfry odnoszą się do miejscowości, leżących w najcieplejszej latem środkowej wpadlinie ziemi jakuckiej. Bardziej na południu z powodu wznoszącego się coraz wyżej płaskowzgórza Witymskiego już jest znacznie gorzej.

Na północy zaś od gór Wierchojańskich stosunki są wprost przerażające. Tak w Wierchojańsku, leżącym o 600 kil. dalej od Jakucka prawie wprost na północ, ostatni mróz obserwowano 30-go czerwca, a pierwszy 5. sierpnia. Czyli, że ilość dni zupełnie zabezpieczonych od mrozu wynosi tam tylko 37.

Zamarzanie rzek w całej wschodniej i północno-zachodniej Syberji odbywa się inaczej, niż w Europie. Odbywa się ono zupełnie odwrotnie, idzie bowiem z dołu. Pierwsze blaszki lodowe formują się tu na dnie rzek i, wznosząc się do góry, formują miękką, źle spojoną masę. Masa ta, płynąc po powierzchni rzeki, twardnieje, zbija się w ogromne zatory i dopiero po upływie pewnego czasu ścina się w jedną powłokę. Taka źle spojona masa lodowa nazywa się „szugą“. Na Lenie „szuga“ za-

czyna się ścinać i twardnieje przy 20° mrozu. Czas zamarzania Leny około Jakucka przypada na koniec października lub sam początek listopada. U w a l n i a s i ę z a ś r z e k a o d l o d ó w o k o ł o J a k u c k a w c z a s i e o d 2. d o 13. c z e r w c a. Średnio więc jest Lena około miasta zamarzłą 7 miesięcy.

T a k p ó ź n e p u s z c z a n i e L e n y i wszystkich rzek tutejszych j e s t s p o w o d o w a n e n i e z w y k ł ą g r u b o ś c i ą l o d ó w. Wobec tak wielkich i tak długotrwałych mrozów, lód na wodach tutejszych dochodzi do potwornej grubości. Szczególniej niepomiernie przemarzają jeziora, dając lód 2 i więcej metrów gruby. Mniejsze i płytsze, jak również i małe rzeki wymarzają do dna. Lód na rzekach wielkich i na Lenie jest trochę cieńszy. Na Lenie lód miewa 5 1/2 stóp grubości, więc nie ma 2-ch metrów. I tak jednak grubość ta jest tak znaczną, że wody tutejsze nigdyby z pomocą tak krótkiego lata nie zdołały się uwolnić ze swych kajdan zimowych, gdyby nie pomoc tych mrozów wielkich, tworzących owe kajdany. Fakt, który tu zachodzi, jest powszechnie znanym nietylko w całej Syberji, ale i w całej Rosji północnej, polega zaś na tem, że im silniejsze bywają mrozy, tem głębiej i silniej pękają formowane przezeń lody. Straszne mrozy jakuckie jeszcze energiczniej burzą swą robotę, rozsadzając lód we wszystkich kierunkach. Pierwszy lód formuje się przy wysokim poziomie wód. W czasie zimy ilość wody znacznie się zmniejsza i niezwykle ciężka powłoka lodowa traci wreszcie swe oparcie i wskutek zbyt wielkiego ciężaru, w miarę ubywania wody, załamuje się przy brzegach do coraz niższego poziomu wody. Przypływ wód wiosennych już łatwo wznosi połamane tafle i przy pomocy słońca i wiatrów kruszy je ostatecznie.

---

Poznaliśmy zimę jakucką w najogólniejszych zarysach — i wróćmy na chwilę do myśli, którąśmy na początku poruszyli. Czy harmonja w układzie ciał niebieskich odbija się w układzie i prawach, rządzących rozwojem powierzchni ziemi naszej? Całkowicie na to pytanie odpowie może przyszłość. Nauka dzisiejsza daleką jest jeszcze od poznania praw, rządzących rozwojem powierzchni kuli ziemskiej. Zaznacza jednak pewną niewątpliwą harmonję w jej budowie wogóle, jak i w szczególności w budowie lądów. Istnienie dwu biegunów zimna na obu wielkich lądach jest też harmonijnem niewątpliwie. Czy jest jednak w tej budowie celowość? Tu już każdy odpowie sobie wedle rozumienia swego.

N i k t j e d n a k n i e z d o ł a z a p r z e c z y ć, ż e b e z z g r u p o w a n i a l ą d ó w w w i ę k s z e n i e r o z e r w a l n e m a s y c z ł o w i e k n i e d o s z e d ł b y d o s w e g o t e r a ź n i e j s z e g o w i e l k i e g o r o z w o j u. I dla zwolenników celowości i dla ich przeciwników jest to fakt niewątpliwy. Większa ilość takich faktów bezspornych złączy może kiedyś z sobą dwa obozy. Znajdzie się może wtedy jakaś odpowiednia formuła i dla naszych biegunów zimna północnego. Zanim to jednak nie nastąpi, nikt niema prawa gniewać się, gdy powiemy:

Jakuci, kiedy uderzą mrozy, tamujące oddech, ścinające krew w żyłach, a w powietrzu zamiast gwaru życia, grać zacznie straszna muzyka mrozu, wsłuchując się w ów trzask dziwny, zkądś z daleka, z pod zlodowaciałego stropu niebieskiego idący ku ziemi, powiadają, że to szept gwiazd donosi się z nieba.

Kto tylko doświadczył mrozów jakuckich i widział ludzi, wracających z wygnania, którzy będąc silnymi, zdrowymi, sprawiali jednak w pierwszych chwilach wrażenie obłąkanych, ten zgodzi się z Jakutami na to, bo to naiwne powiedzenie ludu nieszczęsnego, a duchem swym dziwnie pięknego i szlachetnego, zgadza się w swej istocie z powiedzeniem jednego z twórców ziemioznawstwa współczesnego, „ż e t r z e b a p o z n a ć g r a n i c e o g r a n i c z o n o ś c i l u d z k i e j, a b y z r o z u m i e ć p o t ę g ę i b e z m i a r n i e o g r a n i c z o n o ś c i“.

M r o z y j a k u c k i e, b e z s i l n o ś ć c z ł o w i e k a w o b e c t y c h m r o z ó w, d a j ą n a l e ż y t e p o j ę c i e o j e d n e m i o d r u g i e m.

---

MARJA JARMUND. 14)

# Nasze ideały w XIX. wieku.

(Dokończenie.)

Nie w naszej mocy wprawdzie przyspieszyć lub podług swojej woli pokierować biegiem wypadków. Ale można z każdej sposobności korzystać, żeby zysk pewien dla siebie wyciągnąć i nigdy nie opuścić bezużytecznie nadarzającej się pomyślnej chwili. W jakich warunkach wielki nasz obrachunek z ciemiężycielami nastąpi w przyszłości, tego nikt dzisiaj odgadnąć nie zdoła, jeżeli nie my jednak, to nasi następcy doczekają się go z pewnością. Muszą kiedyś nadejść wypadki, które dopomogą do zrzu-

cenia jarzma, czy to pod postacią zewnętrznego napadu na jednego z naszych wrogów, czy zatargu, wybuchającego pomiędzy nimi. Wtedy wypadnie działać albo na własną rękę, albo łącząc się z tym, który będzie mniej szkodliwym i niebezpiecznym, ażeby choć od jednego uwolnić się całkowicie. Z drugim już później łatwiejsza będzie sprawa. Tymczasem zaś robić to, coby próbował robić człowiek, znajdujący się w mocy rozbójników, to jest: straszyć jednego drugim, podburzać jednego na drugiego, łączyć się z jednym przeciw drugiemu i t. d. Dlatego też taktyka, przyjęta w Poznańskiem, gdzie zaczęto Prusakom grozić Moskalami, mogłaby być bardzo rozumną. Idzie tylko o to, żeby przy takiej rozumnej i dozwolonej taktyce nie zatruć sobie ducha, nie uwierzyć w to, co się wmawia wrogowi i nie tracić ani na chwilę z oczu i z pamięci prawdziwego celu, do którego się dąży.

Bolesław Prus, niejednokrotnie wskazywał nam Prusy, zmierzające z bezwzględną konsekwencją od paruset lat do rozszerzenia swojej potęgi, jako wzór, godny naśladowania i bardzo słusznie możemy korzystać z przykładu, jaki dają napastując nas i zużytkować go do obrony. Ale w takim razie nie wolno sobie krępować nóg i przestrzegać przed podszeptami honoru, bo oni wzrośli i pobili nas środkami, które nic z cnotą nie mają wspólnego. A więc i my słuchajmy podszeptów honoru, gdyż on nam dobrze poradzi. Gdybyśmy szli za jego wskazówkami, nie przechodziłoby tyle ziemi polskiej w ręce wrogów, rumieniec wstydu paliłby oblicza na wspomnienie urągliwej obelgi Bismarka, wysyłającego szlachtę naszą do Monaco — i na myśl, że tylu nikczemników poszło za jego radą i że liczba ich z każdym dniem się mnoży. Poczucie honoru broniłoby nas od tak częstych upodleń dla karjery i zaszczytów, przyjmowanych od wroga; kazałoby silnie odczuwać każdą zniewagę i nie pozwalało za nią przebaczać. Nie jest Polakiem ten, w czyjem sercu nie zagotuje się krew gwałtownym gniewem na wiadomość o obeldze, wyrządzonej przez ciemiężycieli najmniejszemu z najnędzniejszych wśród naszych rodaków, kto jej nie odczuje jakby krzywdy własnej i nie zapragnie pomścić. Nie zbyt wygórowane poczucie dumy i honoru, ale ich niedostatek był naszą wadą i doprowadził do tego, czem jesteśmy. Byliśmy pokornego ducha, a dla takich przygotowane jest Królestwo niebieskie, ale za to bez ziemskiego obejść się muszą.

Walka, choć nie krwawa, toczy się ciągła i nieustanna. Starajmy się wciągnąć do niej miljony naszego ludu, obudzić w nim ducha polskiego, natchnąć go przekonaniem, że on jest spadkobiercą tradycji narodowych i na nim spoczywa obowiązek naprawienia tego, co zniedołężniała szlachta przed wiekiem zepsuła, rozpłomienić w nim nienawiść za krzywdy narodu, a żadna potęga piekielna zagrodzić drogi do zwycięstwa nie zdoła. To najpierwsza i najpilniejsza nasza potrzeba.

W walce takiej nie powinno brakować nikogo, wszyscy bez wyjątku mogą i mają obowiązek stanąć do boju, przeciwstawiając brutalnej napaści taki sam opór. Tchórzliwych i obojętnych naród się wyprze i odepchnie, gdyż szlachetnych i odważnych pozostanie zawsze dosyć. Hasłem na teraz niech będzie: Precz z wrogą cudzoziemczyzną. Precz z wszystkich zakątków, gdzie się gnieździła, a nasza nieudolność pozwalała ją szerzyć od wieków niemieckim kulturtregerom i innym przybłędom w rozmaitych dziedzinach życia. Zdobądźmy się na siłę i przestańmy już być „pawiem i papugą“ narodów. Wszelkie stosunki tak handlowe, jak towarzyskie z wrogami bez względu na to, czy to Niemcy, czy Moskale, posługiwanie się ich językiem, wchodzenie z nimi w jakąkolwiek styczność, używanie ich do jakichkolwiek posług, dawanie im sposobności do jakichkolwiek zarobków, powinno być uważane za zdradę narodową i karane pogardą. Niech każdy, jak wieszcz nasz, stanie się „miljonem“, niech czuje i cierpi za krzywdzone miljony. Tylko odważnych i silnych lękają się i szanują, słabych i pokornych, łatwo przebaczających lekceważą i poniewierają.

Nim nadejdzie godzina krwawego obrachunku, może jeszcze daleka, nim zdołamy z wrogów oczyścić prastare nasze dziedziny, bądźmy ciągle w pogotowiu, gromadźmy środki, przygotowujmy serca i umysły do wielkiego dzieła. Jeżeli zdołamy sumiennie spełnić obowiązek, to rozpoczęte XX. stulecie ujrzy, nim dobiegnie do kresu, zwycięstwo tych wszystkich ideałów, dla których ojcowie nasi, pracując mozolnie, choć bezskutecznie do połowy XIX. wieku, życie swoje nieśli w ofierze.

---

PIOTR LOTI.

# ŻEBRAK.

Od dwóch tygodni nie świecą wieczorem latarnie morskie w zatoce Biskajskiej. Nie widać na szczycie nagiej, brunatnej skały, która wznosi się przed nami, tworząc granicę Hiszpanji, blasku tego wielkiego, czerwonego oka, które co noc czujne

swe światło słało na okolicę. Na wybrzeżu Cantanabry toż samo się dzieje, — światła pogaszono w obawie, by mimowolnie nie ułatwić zjazdu przybywającym z Ameryki nieprzyjacielskim okrętom.

Nas, marynarzy, którzy przywykliśmy tak do ognia z latarnianej wieży, jak do codziennego ukazywania się gwiazd na wieczornem niebie, obejmuje wśród tej niezwykłej ciemności jakieś nieokreślone uczucie smutku, lęku i dziwnego zakłopotania.

Gościńce sąsiedniej Francji zaludniają się z dnia na dzień coraz gęściej rozmaitego rodzaju żebrakami; są między nimi tacy, którzy posiwieli przy tem zajęciu, inni jeszcze nowicjusze, biedni ludzie, którzy niedawno jeszcze rolę uprawiali, albotéż w osadach i fabrykach na chleb zarabiali powszedni.

U sąsiadów naszych zaczyna się nędza.

Uciekinierów jednakże już się nie widzi; nie widać zaś ich zapewne od tej chwili, gdy wszyscy niebezpieczeństwo, ojczyźnie grożące, pojęli. Bo przecie roku zeszłego, wtedy, gdy o Kubę tylko chodziło, widziano ich setki i tysiące, owych młodych ludzi z hiszpańskiego kraju Basków, których ogarnął lęk przed febrą, przed głodem, jednem słowem przed śmiercią, która im w tym odległym kraju w najrozmaitszych postaciach niewątpliwie groziła.

Wieczorami zbierali się zazwyczaj wszyscy na rynku, lub na innej szerszej ulicy, by przy wtórze nieodłącznych kastanietów tańczyć fandango, — z radosną brawurą i w najlepszym na pozór humorze; a jednak w oczach tych uciekinierów tlił się po większej części tajony ból i rozpacz.

Karliści namawiali ich jednak bardzo wymownie do tej ucieczki, przepowiadając bliskie zmiany na tronie, następnie zaś powszechną amnestję.

A hiszpańscy Baskowie wędrowali, szli tłumnie do Ameryki *(pour les Ameriques)*. Tak nazywają oni okolice Montevideo i Buenos-Ayres, najchętniej zamieszkiwane przez baskijskich kolonistów. Dwa lata conajmniej trwał ten zanik żywotnych sił Hiszpanji, nieprzerwanie płynących przez naszą granicę.

I często słyszałem narzekania córek Guipuzoa:

— Za kogóż zamąż wyjdziemy? — w naszej wsi już chłopców niema wcale!

Teraz skończył się ciąg uciekinierów; drogi należą do żebraków, do różnego rodzaju rozłajdaczonych postaci, gitarzystów, śpiewaków, krótko mówiąc do tych wszystkich, których nędza w Hiszpanji do wędrówki zmusiła, a teraz tłumnie płyną do naszego kraju.

Alea mego ogrodu rozbrzmiewa od rana do wieczora, skowytem niemych, paralityków, ślepców, półnagich dzieci, starych bab, które z trudem, na lasce wsparte, wloką się naprzód. Przychodzą aż pod moje drzwi i stukają zeschniętemi rękami:

— Pan, — pan, — pan!

— Ave Maria purissima! — pozdrawiają wszystkich, przechodząc przez próg domu. I trwa ten ciąg nędzarzy od rana do nocy, codzień, bez przerwy.

Żebrzą o pieniądze, o chleb i stare suknie.

Są między nimi biedne, stare kobiety, których twarze, zawinięte w czarne chusty, noszą znamię bolu, kobiety... niegdyś może piękne,... pożądane, kochane, któż to dzisiaj może wiedzieć? — Idą niepewnie, jak nadpsute maszyny, wszystkie mają głos o dziwnie smutnem brzmieniu, kaszlą aż litość bierze, wyraz twarzy korny, a spojrzenie czasem bardzo poczciwe i ogromnie wierne. — Ave Maria purissima......!

Tak, ale czy wierzą przynajmniej w tę białą jasną dziewicę, która z ołtarzy z uśmiechem ku nim ramiona wyciąga,... oni, którym na świecie żadna już nadzieja nie pozostała....? Skąd idą tacy pomęczeni? Gdzie spali wczoraj i gdzie pójdą szukać przytułku na noc dzisiejszą?.....

Najsmutniejszy jest widok tych nieszczęśliwych pod wieczór, gdy złamani, wyczerpani, znużeni śmiertelnie, kaszląc i stękając, w ulewny deszcz wloką się rozmokłemi drogami. Że jednak wyglądają wstrętnie a następnie, co najważniejsze, są niezliczeni, więc dajemy im, „światową“ litością zdjęci, drobną jałmużnę i pozwalamy iść dalej, by w chwil kilka zapomnieć o nich.

Czasem, zamiast wiecznej, łacińskiej modlitwy, słyszę muzykę pod oknem mojem; uderza ktoś w stare tamburino z miedzianymi dzwonkami, albo też gra na odwiecznej, bezstrunnej prawie gitarze lub rozstrojonej mandolinie, nieraz trio i kwartety. Najczęściej są to ślepcy z zaognionemi powiekami, którzy przychodzą z głębi Hiszpanji, z Sewilli lub Grenady i skrzeczącymi, suchymi głosami, w których śmierć brzmi, śpiewają słowa gorących, słodkich, melodyjnych, miłosnych piosnek.

Między „kljentami“, którzy codziennie przychodzą, są także całkiem mali ludzie; niektórzy ogromnie śmieszni i doprawdy zachwycający, dzieci 5—6-cio letnie, patrzą wokoło ślicznemi, zalęknionemi oczyma, a laskę pielgrzymią i żebraczą torbę zupełnie tak, jak dorośli noszą, na własną rękę w świat ciągną i... „Ave Maria purissima“.... z ukłonem powtarzać umieją.

Jednak one mają przyszłość przed sobą; może kiedyś piękne i silne będą,.... może będą kochane..,

Tymczasem starzy!... Ci starzy, których już nic, prócz cmentarnego dołu, nie czeka, kiedy ich śmierć w kościstych ramionach zdusi... Dlaczego trzymają się życia tak skwapliwie?... Pocóż troszczą się tak bardzo o to swoje, na wpół zgniłymi łachmanami, okryte ciało?... Cóż im życie jeszcze dać może?

Jakiej radości, jakich chwil jasnych spodziewają się jeszcze od niego?..... Mój Boże!... Jakże mi żal tych nędznych biedaków, jak mi ich serdecznie żal wtedy, gdy sami, opuszczeni, w mroźne, zimowe wieczory, oparci o jakiś mur, schronienia i ciepła łakną,... jakąż ogromną litość czuję dla nieszczęsnych tych wyrzutków, dla których nie znajdzie nikt już serdeczniejszego słowa, nikt ich szczerzej i cieplej nie powita...

— — — — — — — — — — — — — —

Para hiszpańskich małżonków, wypoczywając na stosie kamieni przed drzwiami mojego domu, tak opowiadała historję swoją:

— Przed dwoma laty, byliśmy jeszcze gospodarzami w Nowarze. — By wykupić syna, który miał iść z pułkiem na Kubę, sprzedaliśmy najpierw krowy; — w rok później powołano go jednak mimo tego; — wtedy sprzedaliśmy ostatnie resztki naszej ojcowizny, by mógł za uzyskane pieniądze uciec do amerykańskich krajów...

Sądzę, że mi potworność tego, co się dzieje we wszystkich cywilizowanych krajach, nigdy przed oczami w tak jaskrawem świetle nie stanęła, jak teraz właśnie, w czasie opowiadania tych biedaków.

Jakie to nieludzkie, — ludziom, mającym jedynego syna, który ich żywić ma na stare lata, tego syna zabrać, by go z całą zimną krwią wysłać na „kolonialne rzezie“!...

Mój Boże, — wszak w tym celu możnaby armje ochotników zaciągać, a siły tych, którzy są jedyną podporą, biednych, starych rodziców, użytkować tylko na wzniosłą walkę za ojczyznę.

— Przyszliśmy pieszo aż do Francji, opowiadali dalej, — spodziewaliśmy się tam znaleść zarobek, pracę, aleśmy jej, niestety, nie znaleźli.

— A syn wasz?

— Umarł na febrę w dni kilka po przybyciu do Buenos Ayres.

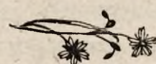
— Cóż teraz ze sobą począć zamierzacie, gdzie chcecie pójść?

— Teraz?... Ach, tego sami nie wiemy. Pójdziemy naprzód, gdzie nas oczy poniosą, ciągle naprzód gościńcami.

Naprzód!... Tak, ciągle naprzód gościńcami w nieskończoność! To była myśl przewodnia, która pozostała wszystkim tym biednym ludziom, także tym dwojgu skromnym staruszkom, którzy byli niegdyś wieśniakami i właścicielami małego gospodarstwa w Nowarze.

Może w tem błędnem wiecznie istnieniu tych wydziedziczonych, tkwi jakiś czar dziwny, — a może tylko chęć zapomnienia tego, co było dawniej.

(D. n.)



# Miny podmorskie.

Jedną z najstraszliwszych broni współczesnych walk morskich stanowią miny, zakładane bądź to celem obrony brzegów i fortów nadmorskich, bądź też celem uniemożliwienia wjazdu nieprzyjacielskich okrętów na pewną przestrzeń morza. Już samo przypuszczenie, że wejście do portu obsadzone jest minami, odstrasza przed wjazdem i atakiem wewnątrz portu.

Jak straszliwe jest działanie miny podwodnej okazuje w całej grozie „wojna rosyjsko-japońska“. Dość przytoczyć, że „Petropawłowsk“ wraz z całą załogą — olbrzymi pancernik i ponad 1000 ludzi, wszystko to poszło na dno w niespełna półtora minuty.

Jakkolwiek konstrukcje min podwodnych różnią się w rozmaitych szczegółach, to zasada ich jest jedna.

Mina składa się zazwyczaj z wielkiej i ciężkiej metalowej półkuli, wypełnionej nader silnymi materjałami wybuchowymi; zaopatrzona jest również zapalnikiem, który sprowadza wybuch albo samoczynnie, albo za pomocą działania prądu ze stacji obserwacyjnej na lądzie (stacja dla zapalania min) lub też na przeznaczonym do tego okręcie.

Półkula ta przy mniejszej głębokości spoczywa wprost na dnie, w większych zaś na zakotwiczonej łodzi, unoszącej się w oznaczonej odległości pod wodą. Z miną tą złączona jest pusta pływająca kula, w której pomieszczony jest styk (kontakt) elektryczny. Kula ta pływa w takiem położeniu, że przejeżdżający okręt musi ją potrącić.

Wówczas pierścień metalowy, wewnątrz pomieszczony, powoduje kontakt przewodu elektrycznego i albo:

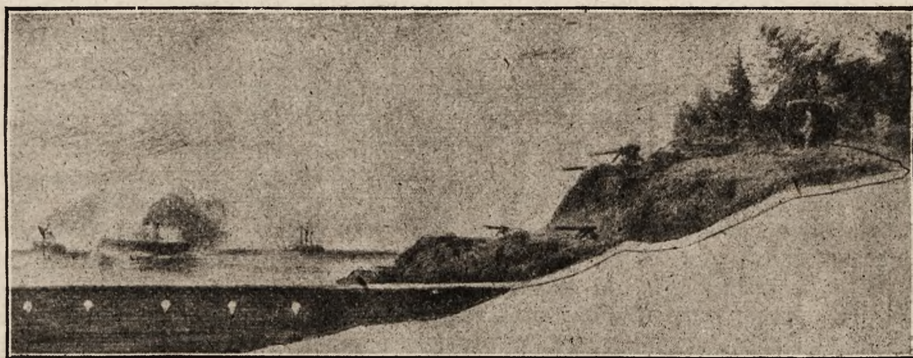
1) następuje wybuch samoczynnie (miny wolnopływające), albo też

2) następuje wybuch ze stacji obserwacyjnej — przesłany ztamtąd prąd wywołuje eksplozję.

Drugi rodzaj min, tak zwany elektrotechniczny, jest zupełnie bezpieczny dla własnych okrętów; bez akcji ze stacji obserwacyjnej wybuch nastąpić nie może, miny zaś wolno pływające kontaktowe powodować mogą katastrofy dla własnych okrętów. Blokada przy pomocy min również dobrze służy atakowi, jak i obronie.

którego usunąć by się dało te piekielne maszyny.

Zazwyczaj łączy się łodzie, parowce lub torpedowce w ten sposób przy pomocy liny lub drutów, zwisających aż na dno morskie, by podczas powolnej jazdy możliwe było wyłapywanie i wydobycie poszczególnych min.



Ryc. 1. OBRONA ZATOKI PRZEZ MINY PODWODNE I DZIAŁA.

Na ryc. 2 widzimy szkic szematyczny urządzenia dla min podmorskich, elektromechanicznych, stacja dla zapalania ochroniona jest wałem lub pancerzem, a znajduje się na wzniesieniu, które umożliwia widok na cały port.

Są tam aparaty, które dają znać, iż okręt nieprzyjacielski wjechał na pole min.

Podczas wojny włosko-austrjackiej (1866) zatopiono całą szachownicę min w porcie trjesteńskim. Stacja obserwacyjna była to *camera obscura*, ściany wewnątrz zupełnie czarne, a przy pomocy soczewki i pryzmatu obraz całego portu padał na stół z szybą matową, która miała zaznaczone miejsca min z matematyczną ścisłością. Na przodzie tego stołu znajdowała się klawiatura, a pojedyncze klawisze odpowiadały poszczególnym minom. Przyciśnięcie łączyło prąd i powodowało wybuch miny.

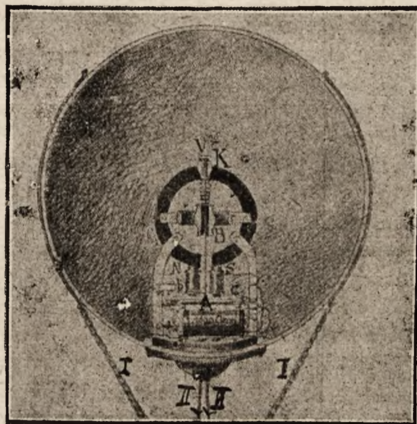
Metoda ta była skuteczna tylko podczas dostatecznego oświetlenia, dziś używa się metod odmiennych, nader skomplikowanych dla tej nowej broni, którą postęp techniki dał molochowi wojny.

Miny, zakładane przez Japończyków podczas obecnej wojny w Porcie Artura, są wyłącznie pływające, prąd wpędza je albo do portu albo na pełne morze, łatwo więc zrozumieć, jak niebezpiecznem stało się to miejsce dla okrętów obu stron walczących.

Przeciwdziałanie kontrminami dla wywołania nieszkodliwego wybuchu okazało się nader niebezpiecznem, to też mimo postępu techniki wojennej, nie ma dziś pewnego prostego środka, za pomocą

Łatwo zrozumieć, jak niebezpieczną jest ta manipulacja. Japonja używa do tego nurków.

Wypadki rosyjsko-japońskiej wojny pouczają, że zastosowanie min podmorskich na otwartem morzu, dostępnem dla statków wszystkich państw, ogranicza prawa międzynarodowej swobody żeglugi morskiej.



Ryc. 2. PRZEKRÓJ MINY PODWODNEJ.

Jeśli więc uregulowano uchwałą międzynarodową zakaz używania wybuchających pocisków, zatrutej broni itp., to prawdopodobnie po ukończeniu obecnej wojny nastąpi konferencja dla postanowienia, w jakim zakresie dozwolone być może zakładanie min pływających na pełnem morzu.

*Edmund Libański.*

# Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Powstanie organizacji kościoła łacińskiego na Rusi* napisał Władysław Abraham. Tom I. we Lwowie. Nakładem Tow. dla popierania nauki polskiej. 1904. Praca ta, tak z powodu tematu, zakresu wyzyskanych źródeł, jak nie mniej umiejętnego ich opracowania, należy do najpoważniejszych publikacji historycznych z ostatnich lat kilku. Obraz walki kultury zachodniej ze wschodnią tak szczegółowy i dokładny, jak na to tylko pozwoliły szczupłe i fragmentaryczne źródła zamierzchłych wieków dziesiątego do końca czternastego, wszystkie, w jakichkolwiek się one pojawiły językach, opracowania i nieznane dotychczas skarby archiwum watykańskiego, z którego prof. Abraham czerpie sumiennie od lat szeregu. W części pierwszej, która się właśnie w druku pojawiła zawarta jest działalność misyjna kościoła zachodniego w ziemiach ruskich od Nowogrodu, Smoleńska, Kijowa, aż po Przemyśl. Kiedy się wreszcie po pewnych wahaniach przeważyła w tych ziemiach szala zwycięstwa na rzecz obrządku wschodniego z Byzancjum, kiedy wskutek wielkiej schizmy kościelnej, kraje te zamknięte zostały dla wpływów zachodu, przelewa się w nie odtąd każdą jakoby szczeliną obrządek łaciński ze wszystkiemi swojemi pojęciami i odrębną, o wielkiej przyszłości cywilizacją. Niesłychanie ciekawe są drogi i środki, któremi się w tym celu papiestwo posługiwało. Autor wymienia je wszystkie, począwszy od dyplomatycznych zabiegów aż do żywiołowych wpływów handlowych i fanatyzmu, który parł głosicieli słowa Bożego po palmę męczeńską.

Poszczególne prądy, które złożyły się na ten jednolity strumień, to legacje papieskie, które przy lada sposobności spieszyły z propozycjami unji kościelnej, familijne związki panujących rodów, stosunki handlowe, które obok kupieckich tworzyły równocześnie wszędzie ajencje religijne, obawa napadów tatarskich, misje dominikańskie i franciszkańskie. Wszystko to jeszcze przed ostatecznym podbojem ziem ruskich przez Kazimierza Wielkiego tworzyło tam kościołowi zachodniemu warunki rozwoju i faktyczne precedensy, które potem polityka państwa polskiego ugruntowała i rozszerzyła. Obrazem zawiązków organizacji kościoła rzymskiego za Kazimierza Wielkiego, Ludwika Węgierskiego i Władysława Opolczyka, kończy się ta część dzieła prof. Abrahama, zapowiadając w części następnej opracowanie dalszego rozwoju tej organizacji za Władysława Jagiełły aż w głąb wieku piętnastego.

Z wytrwałością a także niepoślednią bystrością rozjaśnia prof. Abraham krok za krokiem tak ciemne i niezbadane tajniki średniowiecza, jak oryginalne prawa niemieckich biskupów lubuskich do juryzdykcji duchownej na ziemiach ruskich, lub istnienie całego szeregu biskupów łacińskich we Lwowie, wtenczas, kiedy tu jeszcze stolicy biskupiej nie było. Niezależnie od tych poszczególnych kwestji porusza autor i z benedyktyńską iście sumiennością rozbiera wiele stosunków ekonomicznych i politycznych, które wówczas z kościołem ściśle były związane.

Dodać wreszcie należy, że niebezpieczeństwa, wynikającego z aktualności, jaką dziś jeszcze sprawy tu omawiane budzą, ominął autor szczęśliwie. Dzieło prof. Abrahama jest pracą w całem tego słowa znaczeniu naukową, żadnymi tendencjami niezabarwioną, z wyjątkiem chyba gorącej, chociaż co prawda usprawiedliwionej wiary w wyższość kultury zachodniej nad wschodnią.

*Fr. Jaw.*

---

NOTATKI. *Sztuka dla ludu.* Bardzo piękną i żywotną myśl podniósł lwowski artysta malarz p. Augustynowicz, starając się zastąpić bohomazy, zdobiące wnętrza chat ludu wiejskiego, artystycznemi reprodukcjami obrazów treści religijnej, o motywach swojskich. Na początek stworzył p. Augustynowicz dwa kartony barwne i artystycznie wykonane, a przytem tanie, tak, że ich kolportaż w najszersze warstwy nie przedstawi zapewne żadnej trudności. Jeden z tych kartonów przedstawia zamordowanie św. Stanisława, drugi zaś Bogarodzicę w stroju królowej Jadwigi, u której stóp klęczą dwie postacie w infułach, mające przedstawiać św. Stanisława i Wojciecha.

O ile jednak zewnętrzna i artystyczna strona obrazów nic nie pozostawia do życzenia ze stanowiska sztuki dla ludu, o tyle treść ich i tendencja spotkać się muszą z zakwestjonowaniem.

Artysta, tworząc obrazy religijne dla ludu, miał do wyboru dwie drogi, albo naśladować obrazy istniejące, a z różnych przyczyn otoczone wyjątkowym kultem religijnym, albo też tworzyć dzieła oryginalne, któreby się jasnym swoim i popularnym symbolem tłumaczyły same dla siebie. Tę ostatnią drogę wybrał p. Augustynowicz, ale zaraz w pierwszym obrazie (św. Stanisława) stworzył rzecz historycznie nieprawdziwą, a o tendencji wprost szkodliwej. Gdyby artysta poszedł za sądem wszystkich dużej miary historyków, począwszy od Gallusa, a skończywszy na Wojciechowskim, za sądem, który ocenia ów konflikt między władzą kościelną a świecką i rację stanu, kierującą Bolesławem Śmiałym, uniknąłby poniżenia w opinji ludu majestatu władców polskich. Na obrazie bowiem jeden z tych władców ze wszystkiemi insygniami swojej władzy, zabija ...świętego, patrona narodu, na którego obliczu widnieje przytem całkiem ludzki i uzasadniony przestrach.

Drugi obraz, Królowej korony polskiej, jako symbol nie tłumaczy się zbyt dobrze, gdyż niepoinformowany nie będzie wiedział, że dwie postacie, klęczące u stóp Bogarodzicy, mają przedstawiać właśnie patronów polskich św. Wojciecha i św. Stanisława.



Z drukarni W A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.